№ 19. Piątek, dnia 5 Lutego 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia (24 stycznia) 5 lutego
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Bielańskiej
Nr 8 nowy.

Z TEKI
Jana Chęcińskiego

III.

Moja Matka.

Gdym pierwszym płaczem powitał to życie.
Czyjego serca usłyszałem bicie?
Kto, pozbawiony sił prawie ostatka
W swojem objęciu utulił mnie drżącem?
Kto pocałunków upieścił tysiącem?
Kto?... moja matka.

* * *

Z czyjego życia przez tyle miesięcy
Czerpałem chciwie pokarm niemowlęcy?
Kto, na minutę odbiegłszy zukradka
Ledwiem zakwilił, wracał do kołyski
Niosąc mi razem swą krew i uściski?
Kto?... moja matka.

* * *

Kto, po dniu pracy, spocząwszy w noc [ciemną
Snu się wyrzekał, by czuwać nademną,
Mając w tem Boga jedynie za świadka?
Kto za najmniejszym z kolebki szelestem
Szeptał zuśmiechem: jestem, synku, jestem!
Kto?... moja matka.

* * *

Kto mnie przy pierwszych krokach wiódł [za ręce?
Kto rzucał światło w pojęcia dziecięce?
Kto wspierał moje młodociane latka?
Kto kształcił duszę, co zwolna się budzi
I uczył kochać i Boga i ludzi?...
O! zawsze matka!

PO ZA BIUREM.

(**K. J.**) Pracownicy biura stanowią większą część tak zwanej średniej klasy naszego społeczeństwa, szczególniej w miastach. Jak wiadomo, praca urzędnika w biurze, zajmuje sześć godzin dziennie, wyjmując zaś niedziele i święta, których jest bardzo dużo, widzimy, iż suma dni roboczych w roku urzędnika, redukuje się do 250 dni — pozostaje mu więc bardzo wiele czasu, który można korzystnie zużytkować. Są urzędnicy, którym godziny pozabiurowe wystarczają na zarobkowanie prywatne—są inni, którzy czas wolny eksploatują dla swej umysłowej korzyści, czytają piszą i w ogóle oddają się zajęciom, które ze światem duchowym pozostają w związku.

W pewnem mieście gubernialnem, znamy kilku młodych urzędników, którym dawanie lekcyi w godzinach poza biurowych przynosi wcale przyzwoity dochód; znamy i takich którzy chwile wolne przepędzają w sklepie— znamy ludzi, którzy oceniając wartość czasu, nie marnują go, lecz wiedzą jakim ten czas drogim jest skarbem i jak z niego korzystać należy.

Takich jednak, niestety jest bardzo mało. W stosunku do całego urzędniczego świata stanowią oni małą i bardzo małą cząsteczkę. Ogromna większość działa inaczej, a źle użytkując czas wolny, przyzwyczaja się do pewnych quasi-rozrywek i przyjemności, które przechodzą z czasem w przyzwyczajenie, w nałóg—bez których żyć nie potrafią i obejść się nie mogą.

Na tym to właśnie gruncie wyrastają rozmaite chorobliwe i śmieszne częstokroć typy, mogące co prawda, stanowić bardzo bogaty materyał do komedyi i ramotek, — ale z drugiej strony smutne, bo nienaturalne, wykoszlawione, spaczone, odróżniające się od ludzi czynu i energi.

Kto z was, nie zna naprzykład polityków? Jak każdy z nich natychmiast po obiedzie spieszy do cukierni, chwyta trzy ogromne gazety; jednę czyta, na drugiej siedzi, trzecią trzyma w ręku. Zabezpieczył się przezornie, aby go kto nie pozbawił przyjemności studyowania przyszłości losów Europy. Taki polityk jest zwykle milczący, wiele rozumie o sobie; jeżeli się odzywa, to tylko w gronie ludzi, którzy donioslość jego poglądów na sprawy świata ocenić potrafią.

Bill parlamentu angielskiego, jakaś mowa w reichstacie, przypuszczalna opozycya prawicy lub lewicy w zgromadzeniu narodowem, oto nieskończony wątek marzeń, myśli i umysłowych kombinacyi polityka. Polityka stała się dla niego monomanią—on nic nie widzi oprócz gazet, nie słucha niczego oprócz gawęd o mowach tronowych, nie myśli o niczem tylko o legitymistach lub czerwonych. W głowie takiego monomana rozwiązują się kwestye całego świata, on przewiduje wzrost lub upadek narodów, odgaduje przyszłość ludów, tryumf lub fiasco mężów stanu. I naturalnie daleko lepiej znany mu jest przebieg spraw o Formozę—lub szczegóły zajścia w Podgorycy, aniżeli jego własne sprawy domowe, aniżeli wychowanie i przyzwoitość jego dzieci.

Oprócz polityków, są jeszcze preferansiści. Ci znowu całą duszą zatapiają się w kombinacyach karcianych. Dla nich „osiem wyrąbanych" jest epoką, „wpadnięcie bez trzech" bolesnem na długie czasy wspomnieniem, „totus" zaś uroczystym tryumfem i tematem do długich i często powtarzanych opowieści. Są to ludzie, którzy cenią „sztukę dla sztuki" — nie grają dla zysków lecz dla tego aby grać. Dla nich dzień spędzony bez ulubionego preferansa, nie jest dniem normalnym, brakuje mu czegoś.

Zszedłszy się o umówionej godzinie, natychmiast rozkładają stolik, aby czasu nie tracić. Kłócą się — krytykują nawzajem swoje kombinacye, a częstokroć widząc tych rozgorączkowanych, zapalonych adwersarzy, możnaby myśleć, iż są to ludzie, którzy się nienawidzą, tymczasem oni nie mogą żyć bez siebie, nie mogą się obejść bez ulubionej zabawy. A jaki to niewyczerpany temat do rozmowy przedstawia historya wczorajszej partyjki; bo taki preferensista pamięta dokładnie jakie miał karty wczoraj, przed tygodniem, jakie karty mieli jego adwersarze, jaki był przebieg gry; wszystko to, aż do najdrobniejszych szczegółów utkwiło w jego pamięci—i nic dziwnego, bo w tej pamięci nie wiele miejsca na co innego zostało, bo w tym preferansie wszystkie jego myśli spoczęły.

Są inni, którzy namiętnie oddają się bilardowi — a śmieszne zaiste wywołuje wrażenie staruszek uwijający się z kijem przy bilardzie; powaga sui generis, bawiąca się w gałki kościane.

Nie braknie również i szachistów — rodzaj ten przeszedł w powadze wszystkie poprzedzające. Dla szachistów gambit jest najwyższym szczytem kombinacyi człowieczego ducha i umysłu—pozostałe zaś sprawy tego świata niecestwem, marnością, nad którą się i zastanawiać niewarto.

Inni pracownicy biura szukają rozrywek więcej ruchliwych; stąd to powstaje zastęp amatorów myśliwych, rybołowców i t. p. Kto mieszkał na wsi, przypomina sobie zapewne polowania, na które zaproszono panów radców, asesorów et consortes. Widzicie zapewne owych Nemrodów, jak w okularach na nosie, z bijącem sercem w łonie, zwracali zabójczą rusznicę w pierś przebiegającej sarny; jak drżeli i wdrapywali się na drzewa na widok śpienionego odyńca.

I ta rozrywka również przechodzi często w namiętność. Są ludzie, którym braknie na książki dla dzieci, ale którzy nie wahają się zakołatać do drzwi społecznego Szajloka, aby dostać pieniędzy na kupno strzelby systemu Lancastr'a lub pięknego pontera, który będzie się wysypiał na kanapie.

A komuż to z was, nie zdarzyło się widzieć w pięknej porze letniej, poważnego męża przesiadującego całe popołudniu z wędką w ręku nad brzegiem rzeczułki lub jeziora; komuż nie zdarzyło się zaobserwować, jak poważny ten jegomość codziennie o pewnych a niezmiennych godzinach, z punktualnością zegarka przychodzi na to samo miejsce i przesiaduje nad wodą, dopóki go stamtąd zmrok nadchodzącej nocy nie wypędzi.

Wymienione jednak tutaj typy, należą przeważnie do starszej generacyi urzędniczego świata; są to po większej części staruszkowie którzy bawią się jak mogą, którzy wdrożyli się już w swój zwykły tryb życia i pędzą dni swoje z punktualnością maszyny, której bieg tylko choroba lub nadzwyczajny jaki wypadek przerwać może. Są to typy śmieszne, zabawne, które nie zrządzają wielkiej szkody społeczeństwu i których już żadna w świecie siła przerobić nie potrafi i nie zdoła.

Inaczej i nierównie gorzej dzieje się z młodzieżą, przyszłymi ojcami rodzin, przewodnikami młodego pokolenia.

Ci potrzebują silniejszych wrażeń aniżeli polityka, preferans lub polowanie może dostarczyć. Rozporządzając ogromnym zasobem wolnego czasu, muszą go jakoś przepędzać. Większość z nich nie przyszła do tego przekonania, że czas powinien być zużytkowany i zużytkowany dobrze. Im idzie o co innego, pragną zabić szalone nudy, których nie podobna uniknąć, mając tak wiele godzin niezajętych niczem. Są młodzi, świat ich nęci, chcieliby go poznać, chcieliby żyć. Błąkają się jednak po bezdrożach, chwytają pierwszy lepszy sposób, jaki mogą znaleźć w swojem otoczeniu, i lecą w przepaść jedni za drugimi, jak owe bajeczne stada Panurga.

Towarzystwo nie zawsze szczęśliwie dobrane prowadzi ich na bezdroża—przed młodym człowiekiem otwierają się szerokie wrota knajpowego życia i cała ta masa zaludnia cukiernie, a wolny czas przepędza przy bilardzie, przy kuflu, urozmaicając sobie godziny gawędką na temat nie przechodzący przez cenzurę towarzyską; zabawiają się wzajem opowiadaniem różnych fragmentów i epizodów zabarwionych trywialnemi, płaskiemi i mocno tłustemi dowcipami. Owóż to mniej więcej treść, wypełniająca życie tych młodych ludzi.

Przyzwyczajeni do takiego życia swobodnego zupełnie, nieskrępowanego żadnemi towarzyskiemi prawami, wciągają się w nie powoli i przyzwyczajają się doń. Stronią od porządniejszych towarzystw, czują się w nich bowiem nie w swoim żywiole; nie potrafią poprowadzić porządnej rozmowy, a wreszcie odurzeni dymem knajpy, stają się automatami, niezdolnymi do niczego, niezastanawiającymi się nad sobą, obcymi dla spraw społecznego życia.

Niestety, przykłady podobne nadto są częste. Młodzież biurowa znajduje się w położeniu okropnem, a przyszłość jej przedstawia się w kolorach bardzo czarnych.

Niedarmo to gdzieś w starych księgach napisano, że próżnowanie jest matką wszystkiego złego. I rzeczywiście młody człowiek rozporządzający ogromną ilością wolnego czasu, a nieumiejący go użyć jak się należy, znajduje się w opłakanym stanie.

Jakaż przyszłość dla niego, jaka korzyść dla społeczeństwa mającego takich członków.

Smutny to obrazek, niemniej jednak prawdziwy. Kto zna tę klasę ludzi, nie pomówi nas o przesadę — jest tam jeszcze wiele, bardzo wiele plam ciemnych, o których nie wspominamy dzisiaj; krótko mówiąc, źle jest i nadzieja odmiany na lepsze bardzo jeszcze daleka.

Potrzeba wpływów silnych, potrzeba ażeby dobre pojęcie o życiu zaszczepione zostało w sercu tych młodych ludzi. Towarzystwa i oświaty prawdziwej im trzeba.

Nie mówimy tu o ludziach, którzy otrzymawszy wyższe wykształcenie naukowe, poszli szukać karyery na drodze urzędowania, — ci wiedzą co się społeczeństwu od człowieka należy—ale cały proletaryat urzędniczy, zastępy młodych ludzi, bez kwalifikacyi naukowych, którzy weszli do służby biurowej, aby nie dźwigać ciężkiego młota, aby wreszcie nie pracować ciężko i fizycznie.

Ten proletaryat właśnie znajduje się w położeniu nie do zazdrości: każdy osobnik tej kategoryi, należąc do klasy jakoby inteligentnej, nie pozwoli sobie powiedzieć, iż pod wieloma względami pozostaje jeszcze w stanie zupełnie pierwotnym. Nie weźmie książki do ręki, ponieważ niedawno uciekł z ławy szkolnej, zresztą ma dosyć wiadomości, które wystarczają mu do przepisywania, sumowania książek, lub prowadzenia regestrów.

Nie trzeba zapominać o tem, iż pomiędzy urzędnikami (szczególniej administracyjnymi) procent ludzi wyżej wykształconych jest bardzo niewielki. Ci zajmują wyższe posady—ale przeważna większość składa się z owego właśnie proletaryatu, do którego należy cały szereg niższych urzędników, kancelistów i tak zwanych „wolnonajemnych."

To są biedacy, którzy potrzebują opieki. Tym potrzeba właśnie wskazywać sposób, w jaki mają czas wolny przepędzać. O ile nam się zdaje, to ten obowiązek należy do tej garstki, która otrzymawszy wyższe wykształcenie, pojmuje potrzeby społeczeństwa i widzi ile ono traci na tem bezużytecznem i szkodliwem marnowaniu czasu.

Na tych to właśnie wyżej wykształconych leży obowiązek szerzenia oświaty, zawiązywania resurs po mniejszych miastach; jednem słowem do nich należy myśleć o tych istotach zaniedbanych, które same sobą kierować nie potrafią.

Dotknęliśmy bardzo smutnej strony życia, nie wyczerpaliśmy jednak wszystkiego coby należało o tem powiedzieć; i dlatego powrócimy jeszcze do tego samego przedmiotu starając się określić jasno obowiązki, których spełnienia społeczeństwo ma prawo wymagać od ludzi inteligentnych, poświęcających się pracy biurowej.

Haliczanin-Ziewonia.

Z KSIĘGI WSPOMNIEŃ

K. Wład. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg—patrz Nr. 18.)

Gdzieś tylko przybył, uprzejme Galicyanki rozweselały cię grą i pieśnią, a ileż ich umiały, z jakiem uczuciem i wdziękiem śpiewały! Męskie pokolenie lubo mało oczytane, i oddane namiętnie grze w karty, tak *wistowi* jak nowo wprowadzonemu z Prus *dyabełkowi* sercem szczerem, jak otwartą mową z prawdziwego uczucia płynącą, wzrostem, postacią i obliczem przenosiło nas, to w wiek XVII to XVIII stule-

U OGNISKA.

(—N—) Smutny to czasem los felietonisty! Ot, ja naprzykład:

Po trzech niespanych nocach, zmęczony i blady,
Powróciwszy do domu z piątej maskarady
Wiedząc, iż w zdrowem ciele zdrowa mieszka [dusza,
Oddałem się w opiekę pana Morfeusza.
Spałem snem sprawiedliwych; — śniły mi się [tedy
Występy pośród Włochów sennory Cepedy,
Śnił mi się bal w Ratuszu na szpital dziecięcy,
Dalej bal rzemieślników, i jeszcze coś więcej...
Gdym nagle, tuż nad uchem usłyszał wołanie:
Z drukarni po rękopis *przyszłem*, panie, panie!
Otwieram jedno oko—o srogie męczarnie!
Przedemną stoi chłopiec, jakich ślą drukarnie
Do wyrobników pióra, co od wiersza płatni
Dają zwykle swój wyrób na moment ostatni.

I ja do nich należę; i ja dziś spóźniłem się ze swoim referatem i zostałem zaekscytowany przez mojego chlebodawcę za pośrednictwem dziesięcioletniego wyrostka.... Zerwałem się co prędzej z posłania, chwyciłem za pióro i napisałem kilka powyżej zamieszczonych wierszy; — później, po przeczytaniu chciałem to wszystko wykreślić, ale po głębszym namyśle zdecydowałem się pozostawić w całości ten niezbyt może szczęśliwy początek. Wolno mym kolegom po piórze zajmować nieraz po pół szpalty, zwłaszcza na czele korespondencyi, listów lub kronik, na samo wymienienie treści, mającego się poniżej napisać artykułu,—niechże więc i mnie na ten raz będzie wolno pójść za ich przykładem i obdarzyć was wstępem rymowanym, w którym wyszczególniłem mniej więcej te przedmioty, o jakich w dalszym ciągu tej pogadanki *U ogniska*, pomówić z wami zamierzam.

Karnawał się kończy; już mu zaledwie pięć dni życia pozostało, a i te w szale zapustnym prędko przebiegną, przenosząc nas za pośrednictwem popiołu i pobożnych rozpamiętywań na łono czterdziesto-dniowego postu. To też już w ubiegłym tygodniu życie karnawałowe, silniej zawrzało świadome swej krótkowieczności. Tyle jeszcze zabaw w projekcie a czasu już tak mało—trzeba się zatem spieszyć, aby nie osiąść.... na piasku.

Tak też widocznie myśleli opiekunowie i opiekunki szpitala dla dzieci, bo z balem wydanym na korzyść tej instytucyi, wystąpili w zeszły piątek. Że szpital dla dzieci jest instytucyą ze wszech miar na uznanie i poparcie zasługującą, to wiedzą o tem dobrze wszyscy Warszawianie, a że środki na utrzymanie szpitala są bardzo niedostateczne, to także nie jest dla nich tajemnicą. Więc też gdy pisma doniosły o balu, cieszącym się już od lat paru niezwykłem u nas powodzeniem, ruch powstał wielki pomiędzy publicznością, lubiącą łączyć dobry uczynek z zabawą. A gdy w piątek sale Ratusza rzęsistem zajaśniały światłem, gdy się zjechał liczny zastęp

cie. Mnóstwo tradycyi narodowych, czy to z dziejów ogólnie krajowych, czy do rodzin po szczególnie przywiązanych, albo jakiej okolicy przechowało się w nieskażonej prostocie w żywem słowie. Pełno anegdotek dowcipnych, dykteryjek staropolskich, słowem po objeździe kilku dworów na Pokuciu, wracaliśmy do domu, jakby z nabitym trzosem duchowego chleba. Tu wśród tych serdecznych, gościnnych postaci, które witały mnie ze szczerym uśmiechem radości, podawały dłoń otwartą, przyjacielską do uścisku, a żegnały ze smutkiem, pierwszą myśl powziąłem do pisania *Gawęd*, i wiele treści do nich z tej okolicy *Rusi Czerwonej* wyniosłem.

Nie było przyjemniejszej chwili jak pora obiadowa. Szła żywa i wesoła rozmowa, wznoszono liczne a miłe toasty, a gdy przy końcu, kobiety odeszły, i kozaczki fajki nam na długich *antypkach* podali, przy czarnej kawie, zaczynały się śpiewy chórem. Były to pieśni ruskie: *Tymka Padarry*, z polskich: *Stanisława Doliwy Starzyńskiego* i *Maurycego Gosławskiego*. Po prześpiewaniu ulubionych śpiewek, *wist* do późna, kończył dzień zabawy. A te dnie tak się często powtarzały, że zmęczeni, wraz z Magnuszewskim pragnąc poczytać i oddać się ulubionym pracom, musieliśmy odmawiać licznym zaprosinom.

Pożegnawszy moję narzeczonę a jego siostrę w Warszawie, odbiwszy się daleko, jużem nadziei niemiał nigdy jej ujrzenia, tymczasem Opatrzność Boża, i życzliwość dobrych ludzi, ziściła moje marzenia.

Pani Raciborska, Borakowska z domu, a wujenka Magnuszewskiego, ułatwiła przyjazd narzeczonej, sama się wybrawszy w Lubelskie, dokąd ta przybyła z Warszawy w towarzystwie zamężnej swej siostry. Ja tymczasem wznosiłem nowe gniazdko dla siebie, aby w nim rozpalić własne domowe ognisko.

Na małym wzgórku, z widokiem na *Czarnągórę*, od której dzielił Prut i kilka garbów tatrzańskich, zacząłem budować drewniany dworek. Na podmurowaniu położywszy dębowe podwaliny i postawiwszy także słupy, ściany wyłożyły się okrąglakami świerkowemi. Okrąglaki te nabite zostały sterczącemi klinikami, a do tynku, z podwórza, po zrzuceniu *rumówki* z darniny, wykopywano dół w czarnoziemiu, który tu wszędzie idzie głęboko; zlewając wodą, *il* ten mięszano z pociętą słomą i wyrzucono ściany do grubości pożądanej. Wówczas szybko na tej zbitej masie drapaczką żelazną robiono szczerby, bo czarnoziem sechł prędko jak skała, dla wyprawienia wapnem gładko ścian.

Piece zwykle okrągłe z kamieni wyzbieranych w *Dniestrze*, szybko budują, poczem obciągają je płótnem, i takowe malowidłem zdobią. Mój pan majester zdun, w dużym jadalnym pokoju na środku gzemsu wymalował dwa gołąbki dzióbkami się całujące—jako godło przyszłych młodych małżonków, którzy tu zamieszkiwać mieli.

Piece takie dobrze się ogrzewają i trzymają ciepło długo, chociaż tylko opalane były *szulkami* (kiściami z których się ziarno wymłóca z kukurydzy).

Wyręczając pana kapitana, który na czas dłuższy wyjechał do królestwa z żoną, i miał zabawić we Lwowie, zacząłem się bliżej przypatrywać miejscowemu gospodarstwu, i wszystko mnie na każdym kroku dziwiło. Stały stodoły ogromne z obszernemi klepiskami, ale w nich nie chowano zboża, tylko cepami młócono; sterty zaś snopów, ustawiano przy nich w około. Dużo się przez to zboża marnowało, gdy przyszło w czasie deszczu, lub częstych zamieci śnieżnych, z takiej sterty brać do młocki i przenosić czy przewozić do stodoły.

Dziwiły mnie pierwszy raz widziane tu plecione budynki, wąskie, wysokie piętrowe a długie, tak zwane *kosznice*, w które zsypywano z pól zebraną kukurydzę w *szulkach*.

Roślina ta, zajmująca w uprawie obszerne łany, jest nadzwyczaj korzystną: nietylko że stanowi pokarm nadzwyczaj posilny dla ludzi, a dla górali Huculów jedyny żywioł, łodyga nadto byle skoszona przed mrozami, doskonałą jest paszą chciwie przez konie i bydło rogate poszukiwaną, a *szulki*, dają wyborne paliwo.

Wprawdzie rok rocznie nie daje spodziewanego plonu, i w czasie nieurodzaju głód między Huculami, ale kiedy obrodzi, to wystarcza na lat parę. Wyborną też jest kukurydza kiedy młoda, bliską dojrzenia, podawano w *szulkach* gotowaną, lub pieczoną; przykraszona masłem lub śmietaną była smakowitą na stole potrawą.

W końcu lata, przybyła moja narzeczona z wujostwem ze Lwowa: oznaczono dzień ślubu naszego, i robiono przygotowania w cerkiewce za Prutem pod górami, gdzie obrzęd się ten miał dopełnić. Przewieziono kwiaty i dywany, kiedy nagle w nocy, a był to dzień 9 Listopada 1832 r. Prut zahuczał powodzią, i ani myśleć można było o przeprawie. W bliższej, więc cerkiewce w *Zamulincach* do Dzierzkowskich należącej, nazajutrz dał nam ślub kanonik *Skowroński*, szkolny towarzysz Stanisława Jachowicza.

W gronie licznych sąsiadów i przyjaciół wydatniała atletyczna postać Józefa Dzierzkowskiego, z młodzieńczem a dorodnem obliczem.

Rzucony w świat daleko od stron rodzinnych, pierwszy raz wswoim domku, przy własnem ognisku zasiadłem z młodą towarzyszką życia, szczęśliwy, nieprzewidując przyszłych trosk i niedoli jakie nas później spotkać mogły. W małem naszem gospodarstwie mieliśmy chociaż skromny dostatek i pierwszy raz na święta Wielkanocne, zastawiliśmy swoje *święcone*.

Otoczeni przyjaźnią krewnych i życzliwością sąsiadów, błogo i swobodnie przepędzaliśmy dnie, tygodnie i miesiące. Poczciwy ludek garnął się do nas, widząc, że każdy otrzymuje to dar, to *dobre słowo*, a to dobre słowo więcej u niego znaczyło, niż hojna jałmużna.

W sąsiedniej wsi położonej jeszcze bliżej Pruta niż Załucze, w *Matyjowcach*, szczególnym trafem znalazłem odwieczne gniazdo *ślepców lirników*, którzy ród swój wiedli niewątpliwie od czasów jeszcze przedchrześcijańskich. Lud tutejszy przez wielki szacunek zwał ich *Panionkami* i rody ich uważał za błogosławione, święte niemal. Tego zaś zaszczytu dostępował tylko umiejący biegle grać na lirze i ociemniały.

Jeden z rodziny *panionków* ze zdolnością muzyczną, od lat dziecinnych uczył się grać na tym ulubionem instrumencie i powszechnym na *Rusi Czerwonej*, a gdy nabrał biegłości potrzebnej, albo się sam oślepiał, lub przez ojca został oślepiony. Mówiono mi, że robiono to w największej tajemnicy i przy nieznanych obrzędach, ojciec trzymał blachę rozpaloną do czerwoności, przed oczyma syna-lirnika, aby mu wzrok *skazić*.

Taki *panionko* do najbogatszych we wsi należał, nie było nad jego zamożniejszej chaty, żadna dziewa tak się niestroiła jak córka *ślepca*. Ojcowie gorliwie starali się, ażeby zaszczyt rodu *Dida* (dziada) we krwi swojej i potomkach utrzymać, bo już niemała chluba i sława, gdy taki *Panionko*, mógł o sobie powiedzieć, że jest *Did* z *Dida*, dziad z ojca i pradziada.

Po świętach Wielkanocnych gdy się już dobrze świat boży umaił, a odgłos kukułek od gór z po za Prutu dolatywał, ujrzałem ślepego lirnika jak nieśmiało wchodził na moje podwórko. Podbiegłem więc ku niemu, i zaprosiłem do swego dworku. Wiodło go małe pachole, nie wiem syn czy brat jego młodszy, bo lirnik wyglądał jeszcze młodo i nie mógł mieć lat więcej nad trzydzieści kilka.

---

gospodyń i gospodarzy, gdy z pod smyczków orkiestry p. Lewandowskiego wydobywać się zaczęły skoczne i ochocze tony walców, polek, mazura i kadryla — balowi goście płynęli coraz liczniej, tak, że wreszcie na galeryi powstał tłok niezmierny a i w sali balowej było wcale ciasno. Wiedzą o tem najlepiej ci, którym przyszło tańczyć kontredansa na dwułokciowej, conajwyżej, przestrzeni — wiedzą o tem damy, które ze strojnych a lekkich swoich sukien przywiozły do domu delikatne tylko szczątki. Trzeba przyznać, że stroje były świetne i gustowne, choć nieco może zbyt kosztowne, że cała zabawa udała się wybornie, i że, co najważniejsza, szpital wcale przyzwoity otrzymał zasiłek.

I byłoby wszystko dobrze, i wszyscy byliby zadowoleni, gdyby.... ale i na słońcu przecież są plamy. Taką plamą ciążącą na wspomnieniu piątkowego balu była kontramarkarnia. Co się działo przy wyjściu i odbiorze zwierzchniego odzienia, wiele zamieniono paltotów i salop—tego opisać nie podobna, czuje to jednak wasz sługa, który poszedłszy na bal w lekkim paltocie, powrócił jeszcze lżejszym... Byli jednak i tacy, co przybywszy w futrach powracali w samych tylko frakach, a o ile wiemy dwa nowe i piękne futra przeistoczyły się w niewatowane nawet paltoty i dotąd, pomimo usilnych starań i ogłoszeń, tej dziwnej *zamiany gatunków* odrobić nie było sposobu.

W sobotę w salonach resursy obywatelskiej, rzemieślnicy warszawscy wystąpili z balem do którego inicyatywę dali panowie ślusarze. Osób zebrało się przeszło 400, zabawa była szczera i wesoła, i przerwana tylko wieczerzą, trwała blisko do świtu. Był to pierwszy u nas bal tego rodzaju, i dlatego nasunął nam na myśl kilka uwag, które chcemy wypowiedzieć. Przedewszystkiem zauważyliśmy, że stroje dam były zbyt kosztowne; czasy są ciężkie i bardzo ciężkie, na każdy grosz pracować trzeba w pocie czoła, a wydawać go na gałganki i fatałaszki nie godzi się. To jedno chyba może usprawiedliwiać piękne i strojne panie, że był to bal pierwszy w tym rodzaju i że zaproszenia, żądające od mężczyzn koniecznie fraka, białego krawatu i takichże rękawiczek, zdawały się uprzedzać o wielce etykietalnych wymaganiach. Naszem zdaniem należałoby usunąć z biletów owo przepisanie formy balowej i powtarzać podobne zabawy kilka razy w ciągu karnawału a niezawodnie i toalety kobiet, nie tracąc nic ze swojej świeżości i dobrego gustu stałyby się o wiele skromniejszemi a tem samem przystępniejszemi dla wszystkich. Jeżeli już regulamin strojów koniecznie ma istnieć, to wypadałoby go prędzej zastosować do nadobnej rodzaju naszego połowy i postawić pewne zastrzeżenia, których niechajby nikomu przekraczać nie było wolno.

Drugą uwagą, jaką nam nastręczył sobotni bal rzemieślniczy była ta okoliczność, iż bal ten dowiódł raz jeszcze, w sposób stanowczy i niewątpliwy, potrzeby a nawet konieczności utworzenia w mieście naszem resursy rzemieśl-

Na ramieniu wisiały sakwy z białego płótna podłużne, na piersiach przytrzymywał lirę.

Wszedł do jadalnego pokoju, usiadł i po przegywce na lirze, podług swego zwyczaju zaczął przy jej wtórze starodawną pieśń o *świętym Mikołaju*. Wierszy wszystkich nie pomnę, ale dobrze jej treść zapamiętałem:

„Nie masz na ziemi, tak śpiewał, większego patrona, nad świętego Mikołaja: w nim jest pomoc cała, on rozum jest, on ratuje więźnia, sierotę i wdowę. Jeżeli błądząc pomodlisz się jemu, on cię naprowadzi na drogę, nie wpadniesz między *lutych* wilków, a biesowski rozpędzi obłęd. Opiekun sierot, karmiciel biednych, o co go błagać, w tem poratuje, a gdy przyjdzie dzień strasznego sądu, w nim pomoc i obrona grzesznika.“

Przytoczę tu parę strof z tej pieśni w oryginalnem ludowem narzeczu, które spamiętać mogłem:

„Ratuje wiaźnia iż temnycy
Dast sposub syrot'i, wdowycy,
Tolko jeho potreba błahaty,
Na pomoszcz sebi przyzwaty,
Prybud'et!

Dosyt' jest tak ne mało ludu,
Doznały pres'wiatoho czudu,
Kto tolko jemu sia pomołyt,
Najmenszy członok ne zabołyt.“

Z rzewnem uczuciem spoglądaliśmy na grajka ludowego, co miasto oczyma, spoglądał na nas drgającemi białkami, a po każdej pieśni ocierał pot z czoła.

Poczęstowany dobrą anyżówką i przekąską, ośmielony i swobodniejszy, zaczął nam wyśpiewywać dumy i pieśni, wtedy usłyszałem pierwszy raz ludową dumę o owym sławnym *Doboszu*, na którego główne siedlisko na pobliskiej *Czarnej-górze*, patrzałem z okien mojego domku.

Otrzymawszy jałmużnę do ręki i do sakwy, na pożegnanie zagrał nam kilka skocznych *kołomyjek* i zaśpiewał do nich piosnki górali Huculów.

Na zaprosiny nasze, odwiedzał nas potem chętnie kilka razy, i od niego powziąłem wiele ciekawych szczegółów, tak co rodu *panionków* jak lirników wogóle, i nauczyłem się wielu dum i pieśni.

Gdym je udzielił w poufnej pogawędce Józefowi Dzierzkowskiemu, on zebrawszy ich jeszcze więcej i zbadawszy bliżej *dziadów* na Rusi Czerwonej, w wiele lat później napisał znakomitą powieść we dwóch tomach p. t. *Król Dziadów*, którą mnie przypisał na pamiątkę naszych przyjacielskich a serdecznych stosunków.

Na pogodnem naszem niebie, zahuczała burza; trzeba było opuścić ten domek, w którym się przeżyło tyle chwil szczęśliwysh i swobodnych. Porzucić gospodarstwo i jechać do Lwowa.

Początki były jesieni 1833 roku, już pola nagie, nieujrzałeś na nich ani bujnej pszenicy, ani złocącej się kukurydzy. Liczni sąsiedzi i przyjaciele, odwiedzali codziennie z serdecznem pożegnaniem.

Nadszedł wreszcie ten dzień smutny i bolesny—po bezsennej nocy zerwałem się równo z brzaskiem dnia, obszedłem wszystkie zakątki naszego domku i każdy rzewnie żegnałem.

— Kiedyż was ujrzę, i czy was w życiu zobaczę, myślałem sobie—co się z nami stanie, jaką Bóg da nam przyszłość?

I stanąłem w jadalnym pokoju, przed ulubionym piecem. W koszu było pełno kukurydzowych *szulek*, nanieciłem ogień, i usiadłem w głębokiej zadumie. Jak długo to trwało niewiem—dopiero ocucił mnie z marzeń ruch we dworku. Godzina więc już bić zaczynała do odjazdu, pomiędzy obcych ludzi, do nieznanego miasta, a potem dalej i dalej!...

Dorzuciłem parę kawałków świerczyny, buchnął jasny płomień i rozjaśnił całą komnatę. Spojrzałem w około; dawne nasze sprzęty już wyniesiono, leżały tylko podrożne tłomoki, ze ścian zniknęły obrazy—wszędzie—pustkowie smutne.

Podniosłem oczy w górę, i zobaczyłem na gzemsie pieca, parę malowanych gołąbków!

— Żegnajcie kochane ptaszki, mimowolnie zawołałam, już was pewnie nie ujrzę więcej!

I łzy mi w oczach stanęły.

III.

Lwów.— Teatr.—Aktorowie.—Nowakowski.—

Jan Nepomucen Kamiński.

Lwów pod owe czasy (rok 1833—1834.) lubo wiele wspomnień historycznych mający w swej kronice od dawnych wieków, niczem się nie odznaczał. Kościoły tylko zwracały uwagę, i gmach „Zakładu narodowego imienia Osolińskich.“ Samo miasto brudne, licho zabudowane, liczyło około 50,000 mieszkańców: na ulicach język niemiecki, albo szwargot żydowski, przeważały. Hrabia Skarbek dopiero zaczął budować wspaniały swój Teatr: widowiska w dawnym się odbywały, w którym na przemiany przedstawiano opery, sztuki niemieckie i polskie.

Repertoar ostatniego był starannie prowadzony pod dyrekcyją Jana Nepomucena Kamińskiego. Tu pierwszy raz ujrzałem dramat Korzeniowskiego *Piękna Kobieta*, starannie wystawiony.

Znakomici artyści podpierali tę scenę, przygniataną przewagą niemiecką. Dość tu wymienić Nowakowskiego i Smochowskiego, główne filary teatru. Z kobiet odznaczały się Kamińska żona dyrektora, Starzewska i Rutkiewiczowa, której mąż był nieporównany w niektórych rolach.

Nowakowski stał na czele, jako rzeczywiście jeden z najpierwszych aktorów polskich jakich kiedykolwiek scena nasza miała, główne w rolach kontuszowców. Nikt w tym ubiorze składniej szlachetniej i naturalniej jak on niewygładał. Trzeba było widzieć z jaką zręcznością wyrzucał w tył wyloty, poprawiał pasa, gładził czuprynę i pokręcał wąsy.

Pierwszy raz widziałem go w farsie przez Kamińskiego przerobionej z niemieckiego p. n. „*Twardowski na Krzemionkach*.“ Nowakowski grał główną rolę czarodzieja XVI wieku, o którym szeroko się rozpisuje Łukasz Górnicki w swoim *Dworzaninie*.

Pierwsza scena przed gospodą, kiedy wychodzi kuternoga Twardowski, i zebranemu ludowi pokazuje swoje sztuki, niewyjdzie mi nigdy z pamięci. W żupanie i kontuszu, przy szabli, w rogatywce na głowie, kulejąc na jedną nogę, wychodził czarodziej z karczmy i śpiewał sławną piosnkę, z której strofkę dobrze pamiętam.

„Przyjdą djabli,
Ja do szabli,
Czapka na bok, poły w pas,
Jak się zbliżę
Chlust dwa krzyże,
Gdzieście djabli—nie ma was.“

Stosownie do tych słów spiewki, pełnej ognia, zastosowywał tak wybornie ruchy i postawę, żem dopiero pierwszy raz ujrzał z tradycyi ludowej, Twardowskiego ucieleśnionego w całym uroku prawdy.

Grzmot oklasków zasłużonych towarzyszył tej scenie, jako słuszny hołd dla wielkiego aktora.

Druga scena z tej sztuki, równie głęboko wyryła się w mej pamięci, gdy czarodziej unosi się w obłokach wraz z wiernym sługą *Heczepecze*, którego przedstawiał Rutkiewicz. Mężczyzna wyniosłego wzrostu, atletycznej budowy, z wysokości po nad *Krzomionki* spoglądając pod swoje stopy, widzi na ziemi, własny pogrzeb i spostrzega swoję żonę, jak idzie za trumną w której spoczywają jego zwłoki, i płacze po stracie ukochanego mał-

---

niczej, o której wiele już nieraz mówiono i pisano, ale co do której nic jeszcze podobno nie zrobiono, aby z dziedziny projektów przenieść ją w dziedzinę czynów. Warto doprawdy zająć się urzeczywistnieniem tej myśli, od tak dawna już bezskutecznie poruszanej, a tyle istotnych korzyści przynieść mogącej bezpośrednio samym rzemieślnikom a pośrednio i całemu ogółowi.

Kiedy już mowa o balach i zabawach, zaznaczyć nam wypada, że wieczorki sobotnie familijne urządzane w resursie kupieckiej, w tym roku nie cieszą się już powodzeniem, jakiego tak słusznie doznawały w roku zeszłym. Czyżby tylko nowość była do nich przynętą? czy może skromne stroje stały się przyczyną ich niepowodzienia w roku bieżącym? Bądź co bądź fakt to źle świadczący o naszych wymaganiach. Dowodzi on, że nie umiemy się bawić dla samej tylko zabawy—potrzeba nam zaraz rozgłosu, konfortu, przepychu i zbytku. Potrzeba szumnych i reklamowanych zaproszeń, sutej wieczerzy, świetnych i kosztownych toalet, jaśniejących tysiącami świateł salonów.... Tak wiele wymagamy do zabawy; a czy przynajmniej bawiemy się, gdy te wszystkie warunki zostaną spełnione... Powiedzmy prawdę... najczęściej w podobnych razach, jest ścisk, tłok, gwar, są kosztowne stroje, jest obmowa i plotki, ale zabawy nie ma.

Maskarady oddawna już upadają. Tylko trzecia zachowała przywilej ściągania tłumów. Tłumy te jednak płyną z sali do sali z poziewaniem na ustach i nudą na czole, bo dowcip i intryga są rzeczami na sali maskaradowej nieznanemi od lat wielu. Czasem zdarzy się jakiś wypadek, wychodzący nieco więcej poza codzienne i zużyte już formy—ale ten znów najczęściej graniczy nazbyt blisko ze skandalem. Dosyć, że maskarady nie mają szczęścia. Osób nawet bywa niewiele: na ostatniej było ich zaledwie 300, a na pierwszej podobno tylko 30. To też słyszeliśmy że w roku przyszłym maskarady rozpoczną się od... trzeciej, bo dwie pierwsze kosztów nawet nie pokrywają. Będzie to nowość dosyć w swoim rodzaju oryginalna.

Byłoby jeszcze dużo do powiedzenia a tu brak już w odcinku miejsca gościnnie nam udzielonego. Otóż opera włoska jeszcze nam śpiewa z dosyć nawet dobrem powodzeniem od czasu przyjazdu pani Cepeda, Hiszpanki, czy Włoszki z hiszpańskiem nazwiskiem. W każdym jednak razie trupę pana Cieffei żegnać będziemy bez żalu, bylebyśmy tylko mieli pewność, że w roku przyszłym.... już jej słuchać nie będziemy potrzebowali.

Chcieliśmy jeszcze słów kilka powiedzieć o teatrze, kilkanaście o wieczorach piątkowych literacko-artystycznych u hr. Kossakowskiego i kilkadziesiąt może o naszem dziennikarstwie... ponieważ jednak są to wszystko przedmioty *postne*, t. j. i w poście nie schodzące z widowni, więc zostawiamy je do następnej pogadanki — życząc wam tymczasem wesołego przepędzenia ostatków.

żonka. Heczepecze na ten widok, rzewnemi łzami się zalewa, niewiedząc, że mu Twardowski tę sztuczkę spłatał.

Śmiech ogólny a serdeczny, wszystkich widzów, towarzyszył tej prawdziwie komicznej scenie.

Niedługo potem, cicha wieść po mieście obiegać zaczęła, że Aleksander hr. Fredro napisał nową komedyą którą w krótce grać będą. Mówiono mi, że Kamiński rękopism jeszcze z niedobrze zaschniętym atramentem porwał Fredrze, i już próby odbywają się, aby co rychlej tę sztukę wystawić. Jakoż w krótce afisze ogłosiły *Zemstę* w trzech aktach wierszem, wktórej główne role grali: *Cześnika* Nowakowski: *Regenta* Smochowski, *Papkina* Staszewski: *Dyndalskiego* Rutkiewicz.

Nie umiem opowiedzić uczucia i zachwytu jakiemi przejęty byłem w czasie pierwszego przedstawienia tej sztuki, w której Fredro, jakby rószczką czarodziejską powołał świat dawny, zamarły do życia i kazał mu zmartwychwstać! Prawda w postaciach i charaktery, język tak dzielny, przy potoczystości wiersza, pełen zwrotów, wyrażeń i przysłów osiemnastego stulecia, a jeszcze wypowiedziany ustami takiego artysty jak Nowakowski, czarował wszystkich i porywał.

Dyndalski był wyborny gdy pisze list po dyktowaniu Cześnika, i podarte z niego zbiera kawałki: zarówno jak układny, lisowaty *Regent: Papkin* nawet w roli swej trzymając się ściśle myśli i słów autora, uniknął przesady, w którą wszyscy po nim wpadali aktorzy.

Sztuka odegraną była doskonale tak w szczegółach jak harmonijnej całości. Nowakowski wystąpił tu, a powiedzmy szczerą prawdę, że miał szerokie pole po temu, w całym blasku znakomitego talentu. Co za gra była mistrzowska, jaka postawa, jakie ruchy, jaka doskonałość i naturalność w mowie!

Scena, gdy cześnik po wyzwaniu na rękę Regenta, spostrzega go w swoim domu: w pierwszej chwili gwałtownego uniesienia porywa za rękojeść szabli, ale po krótkiej chwili oprzytomniawszy mówi te szlachetne słowa:

Nie wódź mnie na pokuszenie
Ojców moich wielki Boże!
Wszak gdy wstąpił w progi moje,
Włos mu z głowy spaść nie może!

a po nich odpasuje i rzuca na stół karabelę, była genialnie oddaną, publiczność słuchała w niemym zachwycie, zanim przyszedłszy do siebie oklaskiem grzmiącym swoje zadowolenie objawić mogła.

Widziałem Nowakowskiego i w małych sztuczkach jak *Kłótnia o wiatr*, gdy przedstawiał zagonowego szlachcica: widziałem i tańczącego dzielnie kozaka *w przysiudach*, albo *kołomyjkę*, a w każdej był nieporównany. Póżniej bywał u mnie i bliżej go poznałem, a towarzystwo jego nader miłe i przyjemne, gdy grał nam na fortepianie i śpiewał staropolskie piosneczki. — Znałem go już poprzednio ale zdaleka, bo ze sceny *Teatru narodowego* w Warszawie, gdzie zachwycał publiczność główną rolą w melodramacie *Chłop milionowy*. Śpiewki jego z miotełkami tak rozpowszechniły się, że słyszeć je można było we wszystkich warstwach społeczności naszego miasta. Rysownik Jan Lewicki, wydał nawet zbiór rycin przedstawiający Nowakowskiego w tej roli, wraz ze strofkami piosnek u dołu, i ta publikacya wprędce rozchwytaną została.

Po kilku razach bytności na przedstawieniach polskich, umyśliłem poznać Kamińskiego i odwiedzić go, tym bardziej, że po ciężkiej chorobie niewychodził z domu.

Zastałem go leżącego w szlafroku na kanapie. Na pierwszy rzut oka, uderzyła mnie jego niezwykła fizyognomia. Twarz okrągła oczy czarne pełne ognia, gęste sploty kruczych włosów już na poły posiwiałe, spadały mu na ramiona.

Przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie a nawet serdecznie. Rad był żem go nawiedził: ożeżwił się wielce, i zaczął mi opowiadać niesłychanie zajmującą podróż, jaką odbywał do Odessy, ze swoją trupą aktorską, gdy w pomienionem niedawno się wznoszącem mieście, rządził książe Richelieu, późniejszy pierwszy minister Ludwika XVIII. Ta wędrówka tak daleka, przez Wołyń i Podole w owych czasach gdy dróg bitych nieznano, aż na wybrzeża morza Czarnego, tyle miała przygód komicznych, że nieraz od wybuchu serdecznego śmiechu, wstrzymać się nie mogłem.

Powoli w poufnej pogawędce, gdym go częściej odwiedzał zaprzyjaźniony życzliwie, zaczął mi się spowiadać ze swego życia.

Urodził się w końcu 1777 roku, we wsi *Kutkorz*, która leży nad rzeczką *Pełtwią* o pięć mil na wschód od Lwowa. Z młodych lat miał szczególne zamiłowanie do teatru i literatury dramatycznej. Biegły w języku łacińskim i niemieckim, nad ojczystym sam gorliwie pracował, i rzeczywiście styl jego szczególniej poetyczny, godnym jest uwagi.

W roku 1794 twórca teatru narodowego Wojciech Bogusławski, zmuszony ówcześnemi wypadkami, opuścił Warszawę i we Lwowie przez lat cztery dawał widowiska polskie. Kamiński stał się gorącym jego zwolennikiem i dla tej sceny tłómaczył wiele oper, komedyi i dramatów; wreszcie zaczął i oryginalne sztuki sam pisać. Z tych, najpopularniejszą była „*Zabawka dramatyczna Zabobon czyli Krakowiacy i górale*“ (Lwów 1821 r.). Jest to dalszy ciąg opery Wojciecha Bogusławskiego, który pierwszy powołał lud do wystąpienia na deskach teatralnych.

Z tłómaczeń wysokiej wartości nie możemy pominąć przekładu z Szyllera: *Obozu Wallensteina*, (trylogium uzupełniają: *Dwaj Piccolomini* i *Śmierć Wallensteina*) wierszem, jak tragedya *Calderona* w 5 aktach, *Lekarz swego honoru*. (Lwów 1827 r.).

Zapalony wielbiciel zawodu, któremu się poświęcił, pojmujący wysokie znaczenie teatru, jakże wymownie a pięknie odzywał się w *prologu* mówionym na scenie lwowskiej.

„Scena zabawą czczą nie jest dla gminu,
Ani jest wiechą podłego rzemiosła:
Ona ze skały skry bije do czynu,
Maską gmin wabi, aby go podniosła.
Wiek swój pokrzywdza zdaniem zardzewiałem,
Kto czczej zabawy szuka w niej powodu:
Silniej niż dusza rozmawia się z ciałem,
Rozmawia scena ze sercem narodu;
Jeden tam węzeł dwie strony kojarzy,
Co jedna czuje, druga ma na twarzy.
Jedna się w drugą przenosi pochopnie
Kształtów i nauk pokazuje stopnie.“

Kiedy mi ten wiersz sam odczytywał Kamiński w rękopiśmie, bo dopiero w rok później go w zbiorku swych poezyi wydrukował p. n. *Haliczanka* *) na moję uwagę że nie zawsze tak szczytne stanowisko teatry nasze zachowują zamyślił się chwilę i odrzekł mi na to:

(*d. c. n.*)

---

*) *Haliczanka czyli zbiór nowszy wierszy Jana Nepomucena Kamińskiego.* We Lwowie, czcionkami Piotra Pillera 1835 r. (w 12-e str. 118). Z większych utworów mieszczą się tu: *Lunatyk czyli sześć wieczorów Kasztelana*, poemat. *Czerwony płaszcz* powieść. *Przypadek na odpuście* i drobne poezye. Do napiękniejszych w tym zbiorku należą: *czerwony płaszcz* i *przypadek na odpuście*, króre nigdy swej wysokiej wartości nie stracą.

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE od X-go do XII-go wieku.

szkicował

ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

Tak napomknąwszy o pierwszych chwilach pobytu Astrydy w Szwecyi, wypada nam coś powiedzieć o dalszych jej losach. Niebrak i tym barwy romantycznej, która może oddziaływała i na powyżej cytowane legendy. Ze ślubów swych z Henrykiem Astryda czy Syryta, jak ją nazywa Sakso Gramatyk pisarz duński z XII wieku, dochowała się syna Olafa, świętym później za swe trudy apostolskie uznanego. Po śmierci ojca, 994 r. Olaf z matką objął rządy Szwecyi. W czasie jego nieobecności, Danią zawładnął Sweno widłobrody. Niezostawał jednak w onej spokojnem dzierżeniu, nietyle może z powodu Olafa syna Syryty, ile z racyi Olafa Trygwasona króla Norwegii, jak to szeroko opowiada wspomniany już Sakso Gramatyk.

Olaf ów Norwegski, dotąd jeszcze bezżenny, rad potęgą polityczną zasłynąć w świecie i posiąść Danią, jeszcze jak sądził widać, zależną od owdowiałej Astrydy, chciał przez małżeńskie z nią śluby, spokojnym sposobem dojść do posiadania znacznego państwa. Zasłyszał o tem Sweno widłobrody, i lękając się sprzymierzenia floty Norwegii i Swecyi i następnej obu z dwu stron na rodzinne ziemie swoje napaści, uciekł się do podstępu, aby zamierzony związek zwierzchników cząstek Norwegii i Szwecyi rozerwać. Wysyła z Danii na dwór królika norwegskiego dwu przebiegłych swych zausznikow. Ci przywdziawszy na się ułudny pozór zbiegłych przed karą, a niewinnych ludzi, szukają u Olafa przytułku i zasłony od Swenona. Norwegczyk, ile że nieszczęśliwych, uprzejmie podejmuje. Gdy rozwijająca się niebawem zażyłość, działać wysłańcom skutecznie pozwoliła, zaczynają do skarg i nagan na Swenona, dodać nadmierne pochwały wdzięków jego córki Tyry. Olaf Trygwason oplątany zdradną siecią podstępnych słówek, wpadł niebawem w zastawioną na się łapkę. Rozgorzawszy miłością do opisywanej tak ułudnie Tyry Swenonówny, śle za poradą owych zdrajców swadziebne poselstwo do jej ojca. Sweno przychyla się do zamiarów Olafa, który przekładając śluby z dziewicą nad węzły małżeńskie z wdową, pomyślał teraz, stojąc rzekomo na szczycie najwyższego szczęścia, o zerwaniu tak gorąco niegdyś sklejanych stosunków przedwstępnych z Astrydą. Zaprasza więc tedy królik norwegski Mieszkowicównę na jakąś naradę, decydować zapewne mającą o chwili ziszczenia dawno piastowanych zamysłów. Skoro się zaś zjechali, Olaf prosi o chwilę rozmowy na okręcie, swoim zapewne. Po chwili wstydliwego wahania, wdowa królika szwedzkiego wstępuje na most zwodzony, łączący z lądem statek Olafa. Nagle, most umyślnie po temu zdziałany, zapada się pod stopami Astrydy... i ta w falach się zanurza. Majtkowie norwegscy niezadowoleni widokiem tak poniżonego majestatu, dodali nową ohydę, zarzut nieprzyzwoitości, braku sromu niewieściego w wdowie Heryka, wydając okrzyk naśladujący rżenie końskie. Podwójnym wstydem obarczona Mieszkowicówna, z trudnością dostała się do lądu.

Olaf Trygwason być może pragnął zatopić Astrydę w falach Baltyku. Stało się inaczej. Co gorsza, przed obrażoną królową szwedzką stają posły Swenona widłobrodego, i zręcznie

korzystając z okoliczności, obrażonej niewieście ofiarują wynagrodzenie, bo dłoń innego męża — Swenona; wzgardzonej królowej nastręczają nadzieję pomsty w energicznym władzcy duńskim.

Niezabawem kara spotkała Olafa. Gdy bowiem w orszaku weselnym, po Tyrę, przybywa do Danii.... spotyka go odkosz i wiadomość, że jego sprawczynią jest Astryda, obecnie macocha Tyry.

Dalszy przebieg spraw dość jest mętny, ile że każde źródło inaczej rzecz przedstawia. Poczęści już dotąd trzeba było iść po macku wśród sprzecznych powieści.

Wedle jednych podań Olaf Trygwason pojął siostrę drugą Bolesława-Magnusa I, Gejlę imieniem, gdy tymczasem wedle drugich źródeł ten ostatni poślubił odmówioną Norwegczykowi Tyrę, i stąd krwawe boje wynikły między współzawodnikami. Możnaby w końcu dwa te wypadki skojarzyć przypuszczeniem, że Bolesław, podobnie jak to uczynili istotnie drugi mąż Astrydy i syn jej Olaf, walczył nietylko o posiadanie Tyry ale i za cześć swej siostry, obrażonej przez Trygwasona z tym krolikiem norwegskim. Skoro hańbę krwią w orężnej rozprawie umorzono, nastąpiła zgoda utrwalona ślubami norwegczyka z Gejlą. Obcy tym układom Trygwasona norwegskiego z Bolesławem polskim, Olaf Herykowicz, pogodzony z ojczymem i Sweno stoczyli walkę morską z królikiem norwegskim, w której ten pozbawiony pomocy znakomitego łucznika zwątpił o zwycięstwie, i sam skoczył w morskie odmęty.

Astryda w nowem małżeństwie doczekała się równie wielkiej chwały jak w pierwszem bo syn jej Kanut Swenonowicz uzyskał miano wielkiego i został panem nie tylko państw dziedzicznych ale jeszcze i Anglii. Po niejakim czasie znajdujemy Mieszkowicównę w ziemi jej ojców — na dworze Bolesława-Magnusa polskiego. Gdyby wierzyć Mateuszowej dziwnej powieści, miałoby to miejsce wtedy gdy wedle Dytmara koło 1006 roku, Kanut i Harald synowie Astrydy i Swenona, po ojca zgonie, wyprawiali się do Anglii, i tam porażkę ponieśli. Wonczas, by pomścić śmierć dziada, Haralda Blaatanda poniesioną w Jomsburgu, udali się na południowe brzegi Baltyku. (Jomsburg już liczył się do Polski). Zamiast tryumfów odwetowych, wojsko duńskie doznało, w swej opinii, kaźni za poprzednie niepowodzenia, za swą dawną zgnuśniałość w boju. Byli bowiem świadkami nie walk, lecz próśb swych króli, do niewiasty zanoszonych, by raczyła wrócić do Danii. Było to zdaniem wikingów „odwróceniem porządku rzeczy, prosić tej, która słuchać winna.

Mimo jednak ich oburzenia, prosili Harald i Kanut swej matki Astrydy, by z niemi wróciła tam, skąd zbiegła, zdaje się jeszcze za życia Swenona, znowu dotknięta w swych uczuciach niewieścich, widokiem jakiejś rywalki. Wreszcie dopięli celu swych żądań, i tym powrotem Astrydy do Danii kończy się pierwszy opizod stosunków Polski ze Skandynawiją.

(*D. c. n.*)

OD KOLEBKI—DO SZKOŁY

według wskazówek Froebla

PRZEZ

BERTĘ MEYER.

(Dalszy ciąg).

Spojrzyjmy teraz na przepełnione teatry; cóż widzimy? oto przy każdem przedstawieniu nowej offenbachiady, lub jakiej innej dwuznacznej sztuki, bardziej „en vogue“ loże przepełnione są trzema pokoleniami: od staruszki babuni, do małej 8 letniej wnuczki, wszyscy tam z zajęciem, śledzą za każdym żartem i dwuznacznikiem na scenie, z uśmiechem powtarzają nieskromne żarty, które już przestały wywoływać rumieniec na lica starszych członków rodziny. Na ławkach szkolnych strofki z piosenek mniej lub więcej swobododnych, dobrze zachowane w pamięci, starannie na zeszytach i pulpitach są zapisywane, a przyszli obywatele i obywatelki kraju, nie rozumiejąc całej ich doniosłości, żarliwie się z niemi przed towarzyszami popisują. A wy rodzice, długoż jeszcze z zimną krwią patrzeć będziecie na to zepsucie?

Z pokoju dziecinnego do uszu naszych dolatuje pytanie, nad którem z powodu trudnej na nie odpowiedzi zatrzymamy się nieco dłużej.

Widzicie tego małego Stasia, z okrągłą pulchną twarzyczką, dużemi niebieskiemi oczyma? Co chwila przybiega do matki z opowiadaniem, o swawoli siostrzyczek i braciszków. Ciotka woła na niego: „Wstydź się Stasiu, skarżyć na drugich!“ Cóż ma zrobić matka? uledz zdaniu ciotki, i zgromić chłopczyka, czy też stanąć w jego obronie?

Najprzód młoda matko, przytul go do siebie i wpatrz się w jego oczy. Badaj czy te ładne, śmiejące się oczęta, pełne życia i szczerości, mogą należeć do istoty fałszywej, zaczynającej już w pokoju dziecinnym bawić się plotkami? O nie, ta mała główka, nie może inaczej postępować; usteczka różowe małego Stasia, nie wiedząc jeszcze co jest kłamstwo, opowiadają matce fakt spełniony, opowiedziały by bez ogródki i o psocie, przez niego samego wyrządzonej—on mamie chce wszystko opowiedzieć, co tylko ma na swem małem serduszku; innego zamiaru w nim nie dostrzegamy; zatem nie pozwalajcie ażeby posłyszał, a tem bardziej zrozumiał słowo: „plotki, oskarżanie drugich,“ może go rzeczywiście na złą drogę naprowadzić, gdyż pamiętajcie, umysł dziecięcy nie śpi.

Lecz jeśli zobaczycie, że dziecię wasze pokryjomu szepcząc, przychodzi wam opowiedzieć o przekroczeniu swoich sióstr lub braci, jeżeli na jego twarzyczce spostrzeżecie złośliwy uśmiech i radość, z ukarania rodzeństwa, wtedy, całą siłą woli przytłumiajcie ten popęd złego serca. Za pierwszem oskarżeniem zgromcie to dziecię i ukarzcie, odłączcie je nawet od towarzystwa reszty rodzeństwa, niech w samotności rozmyśla nad swym złym uczynkiem, gdyż tym tylko sposobem przytłumicie złe w samych jego początkach, wyrwiecie chwast z korzeniem. W każdym jednak razie, nie bądźcie zbyt skorzy w wyrokowaniu nie zgłębiwszy pierwiej wszystkich okoliczności, czyńcie spostrzeżenia swoje z miłością—z pobłażaniem, ale zarazem niech czujne oko wasze, nie przepuszcza nic takiego coby znamionowało złe serce, radość ze smutku bliźnich, bacząc na to, że wady które tak łatwo wykorzenić w dzieciństwie, w dalszem życiu stają się drugą naturą.

Jednem z najczarniejszych widm pokoju dziecinnego jest upór.

Jak się jemu oprzeć? Goethe mówi: „Tak jak w dziecku dostrzegam zarodek wszystkich cnót i siły, która mu w późniejszem życiu jest potrzebną, tak w uporze upatruję późniejszą stałość i moc ducha, i t. d.

Inny zaś stary pedagog w te słowa się odzywa: „Upór chłopca złamać muszę, bo jakże mu poradzę, jeśli zawsze podług swej woli zechce postępować; cóż to wtedy będzie za wychowanie?“

Któryż z nich ma racyą? I jeden i drugi błądzą, jeśli teoryą swoję rozciągają bezwzględnie do wszystkich charakterów, nie zgłębiwszy ich wprzódy. Wychowywać indywidualnie, to znaczy ducha, ideał każdego człowieka, stanowiący rdzeń jego jestestwa, wyprowadzić na jaw, wydobyć z powszechnej skorupy, a wydostawszy go, obchodzić się z nim troskliwie nie gwałcąc, nie zagłuszając jego własnych dobrych popędów.

Uważać upór za przyszłą stałość charakteru, jest to uczynić nie możebną każdę teoryą wychowawczą. Pokój dziecinny z sześciorgiem upartych malców, uważanych przez rodziców za przyszłych bohaterów, stałby się w miniaturze piekłem, gdyż te małe szatany używając przeciw rodzicom, tej ubóstwianej stałości, wypędziły by ich ze swego państewka. Inaczej zaś, karniej prowadzone, stały-by się aniołami i prawdziwem szczęściem całej rodziny.

Z drugiej strony, równie jest źle każdy najmniejszy upór srogo karcić rózgą, dopóki ojciec posiada siłę w ręku, na podobieństwo owego profesora karzącego w ten sposób swego jedynego syna, lub innego ojca, o którym ze zgrozą wspominać musimy, gdyż takiej samej srogości, używał codziennie względem swej małej córeczki. Takie postępowanie, powtarzam, zagłuszając wszelkie dobre i szlachetne popędy—obezwładnia władze umysłowe, a dzieci przemienia w zwierzęta, bojące się jedynie kija.

Dla tego też Szanowni rodzice, tak jak Bóg w swojem najmądrzejszem rozporządzeniu, każde dziecię oddzielnie wam podarował, tak pamiętajcie, że każde musi być inaczej prowadzone, i choćbyście ich dziesięcioro mieli, z każdem inaczej postępować należy.

Chłopczyk, o którym wspominaliśmy, w ustępie oskarżenia drugich, otrzymał od natury dobrą dozę uporu.

Pewnego dnia, tak matkę uporem swym rozgniewał, że ta zamknęła go do komórki przyrzekając wypuścić go dopiero wtedy, kiedy uczyni zadość jej woli. Malec płakał i szlochał, ale trwał w swym uporze, i żadne pokuty, nawet bicie nie zdołały go poruszyć. Wtedy matka wzięła go na kolana, i całując zaczęła mówić, jak ją smuci podobny upór i jak by się cieszyła jeśli by jej kochane dziecko ucałowawszy ją, prędko wszystko to zrobiło czego po niem żąda, a wtedy, pokój byłby zawsze między niemi.

Chłopczyk w jednej chwili otarł łzy i uściskawszy matkę — wszystkiego dopełnił czego po nim wymagano. Matce dosyć było tej jednej nauki, od tego czasu nigdy syna za upór nie karała, dobrocią i pocałunkiem zawsze trafiając do celu.

Jeśli nawet nie wszystkie dzieci są tak czułego usposobienia, żeby je można było miłością i oddziaływaniem na rozum zmiękczyć; jeśli nawet powtarzamy, mamy do czynienia z naturą twardszą, mniej poddającą się obcemu wpływowi, zawsze jednak z przekonania przytaczać będziemy słowa Jana Pawła. „Żadnej siły nie należy osłabiać, ale przeciwnie, siłę jej odpowiednio rozwijać.“

Dziecię wasze posiada niezwykłą siłę woli, rozwijajcie w nim uczucie miłości, ale tego nie osiągniecie surowem postępowaniem lub biciem. Dziecię krnąbrne i nieposłuszne, powinno być ukarane, ale gniew i nieukontentowanie rodzicielskie, powinno trwać jednę chwilę—albo tak długo, dopóki trwa wymierzona kara. Przyjmować zaś, i naśladować dosłownie ten przepis króla Salamona: „Nie pokazuj nigdy łagodnej twarzy dziecięciu twemu“, mogło być dobrem w starożytności, gdzie dla rozmnożenia rodu ludzkiego, wszyscy patryarchowie i królowie Judzcy, mieli po trzydzieścioro lub więcej dzieci, na nic się jednak nie zda w naszych czasach. Rodzice powinni kochać swe dzieci, nie zaś być ich tyranami, dla-

tego też upór dziecka można karcić, nigdy zaś woli jego nie należy przełamywać. Miejcie rodzice litość i pobłażanie dla dzieci waszych, których pojęcie i inteligencya mniej są rozwinięte, niż wasze.

W końcu najważniejszą przyczyną uporu dziecinnego, jest draźnienie, którego po większej części, rodzice, starsze rodzeństwo i sługi używają dla swojej zabawy. Z dziećmi postępują — jak ze zwierzętami w zoologicznym ogrodzie, gdzie niegrzeczni chłopcy, draźnią je i straszą—śmiejąc się ze złości, i rozpaczliwych skoków nieszczęśliwych zwierząt, które w zamknięciu bronić się nie mogą. Czyż to nie barbarzyństwo, obchodzić się tak z dziećmi? Są to przecież stworzenia słabsze, od nas zależne, które broniąc się, sprowadzają karę na siebie. Spodziewam się, że tego nie robicie, z myślą okrótną, z przyjemnością—z wyrafinowanem barbarzyństwem. O nie, tak być nie może! postępujecie z niemi, jako z zabawkami danemi wam dla rozrywki, płacz, drapanie i uderzania, które od małych dzieci otrzymujecie, zabawiają was, nacieszywszy się niemi do woli, pocałunkami i łakotkami staracie się je uspokoić, ale one rozdraźnione, nie chcą się dotknąć niczego co im dajecie; zaczynacie je upominać, wszystko naprożno, wtedy uciekacie się do bicia, narzekając głośno na niegrzeczność waszych dzieci, a kto w tym razie jest rzeczywiście winnym, komu należałoby udzielić napomnienie? Oto wam rodzice, nauczyciele i starsze rodzeństwo, którzy sami tym sposobem rozwijacie złość, upór krnąbrność i wszelkiego rodzaju złe skłonności w dzieciach. Od powiecie mi że to są zabawy niewinne, nie mające żadnego wpływu na późniejszy charakter i rozwój umysłowy, tych aniołków, których temi samemi niewinnemi zabawami przeistaczacie w małych szatanów, pozwólcie mi bezwarunkowo zaprzeczyć temu sofizmatowi; wszystko ma wpływ na małe dziecię—każda bagatela zostawia na niem swoje piętno, złe czy dobre, i dlatego nad każdem waszem słowem, nad każdym uczynkiem, zastanawiać się jesteście obowiązani, gdyż raz na zawsze pamiętajcie, że dzieci są skarbem najświętszym powierzonym wam przez Boga, i że z użycia tego skarbu, najsurowszy rachunek zdać musicie.

Tu pragnę zwrócić uwagę Szanownych Czytelników, na użyteczność osobnego pokoju dziecinnego, w którym dozwala się dzieciom stukać, hałasować, śmiać się, biegać — bez obawy że przeszkadzają rodzicom, lub gościom. Dziecko musi koniecznie mieć wolność poruszania się, biegania i krzyczenia. Natura jego wymaga rozwoju, płuca potrzebują dla wzmocnienia się, od czasu do czasu głos wydawać—trzymając dziecię ciągle przy sobie, musicie je bez przestanku upominać, przykazywać mu cichość i spokój, tym sposobem gwałt zadajecie jego naturze, wymagającej ciągłych poruszeń. Z tego powodu urządzajcie rodzice oddzielny pokój dla dzieci, w którym wszystkie sprzęty powinny się odznaczać mocnem zbudowaniem, nie zaś wykwintnością — zbawiennie nawet byłoby, jeśli miejsce na to pozwoli, urządzić w nim parę przyrządów gimnastycznych. Nie karzcie nigdy dzieci za złamanie lub zepsucie, jakiego sprzętu, chyba tylko w takim razie, jeżeli zrobiły to przez złość. Przed wymierzeniem jednak kary pilnie rozważcie, czy rozbicie drogiego sprzętu, nie było spowodowane słabością sił fizycznych, lub nieuwagą.

(*D. c. n.*)

Z DZIENNIKA LEKARZA.

(Dalszy ciąg).

Pan S. spał ciągle, pomimo iż głowa jego odbijała się ustawicznie o wysłanie, wskutek ciągłego kołysania się karety. Nagle struchlałem: staruszek zaczął coś mruczeć przez sen. Chciałem natychmiast obudzić go nieznacznem ale mocnem trąceniem, zanim to jednak uczynić zdołałem słyszano, jak dosyć wyraźnie wymawiał wprawdzie poplątane słowa:

— Władysławie.... Heleno.... dzieci moje... błogosławię... błogosławię.... wam... Władysławie—tobie ją oddaję—jedźcie dzieci moje...

Starzec spał tak twardo, iż zaledwie po kilkakrotnem trąceniu go w nogę obudził się, spojrzał na mnie bezmyślnie jak zwykle przebudzony, nagle jednak zrozumiawszy widać o co chodzi i przypomniawszy swój sen, wyprostował się na siedzeniu i spojrzał na żonę z takim wyrazem pomieszania i trwogi, jak winowajca na sędziego, kiedy przy zeznaniu powie zawiele jedno słowo, od którego może los jego życia zależy. Wpierwszej chwili zdawało mi się że wszystko stracone, później jednak przypomniałem sobie, że staruszek powiedział aż nadto dla podejrzliwej małżonki, nie wspomniał jednak nic o Częstochowie. Ta myśl przywróciła mi spokojność. Pani S. drżąc z gniewu i obawy, z najwyższem oburzeniem utkwiła oczy w męża, który dla uniknienia jej wzroku, spuścił swój w ziemię, udając zupełną obojętność.

— A cóż duszko—rzekł—dobrze spałem?

— Wybornie.

— Taki dziwny miałem sen.

— Wiem o tem.

— Wiesz—jakto? Czy co mówiłem?

— Tyle ile mi było potrzeba.

Pan S. roześmiał się i patrzał w oczy żonie, jakby niezupełnie mowę jej zrozumiał. Pani Paulina nierozumiejąc wyrazu twarzy milczała; ze zmarszczenia czoła i lekkiego zaciśnięcia ust domyśleć się było można, zastanawiania się i kombinacyi jakiej w tej chwili była oddaną. Nagle jej oczy zwróciły się na mnie, ja z mojej strony udałem najzupełniejszą obojętność. Dojeżdżaliśmy właśnie do Radomia. Pan S. chciał koniecznie rozmową zatrzeć podejrzenia żony, dla znającego jego obecne położenie, widocznem też było, iż chciał ze swojej strony wybadać, jak wiele jej przez sen powiedział.

— Żeby tam aby konie na nas czekały.

Pani S. milczała.

— Prawda—duszko, żeby tam aby konie na nas czekały.

— Nie wiele mnie to obchodzi

— Jakto, rzekstaruszek spoglądając w zwrócone na mnie oczy żony.

Paulina—nie odpowiadała.

— A cóż — Brzeziński gotów nie przysłać koni—to na niego podobne. A napisałem mu wyraźnie...

Pani S. milczała ciągle.

— Prawda Paulinko — Brzeziński gotów nie przysłać koni?

— Powtarzam ci, że mi to jest zupełnie obojętnem.

— Ależ jak to ci może być obojętnem?

— Bo do domu nie pojadę.

— Pan S. aż podskoczył na swojem siedzeniu.

— Nie pojedziesz—zawołał z przerażeniem, nie pojedziesz—ależ gdzie pojedziesz? I wpatrywał się w żonę, jakby chcąc z jej twarzy wyczytać odpowiedź. Pani S. nie odpowiadała.

— Jakto moja duszko — do domu niepojedziesz?

— Nie.

— A więc gdzie pojedziesz?

— Tam, gdzie mnie obowiązki matki wzywają.

Pan S. struchlał. Zdobywając się jednak na ostatek zimnej krwi i zacierając wesoło ręce.

— A tak—to co innego—rzekł: jedziesz do domu, tam Gucio, Micia....

— Bynajmniej.

— Co?

— Jedziemy do Warszawy.

Pan S. odetchnął tak wyraźnie, iż bałem się, aby tego żona nie zauważyła. Staruszek nie umiał udawać. Jego sztuczny uśmiech zamienił się w naturalny wyraz radości, nie bez pewnego jednak zdziwienia.

— Do Warszawy?

— Tak.

— Ależ poco?

— Nie nudź mnie—proszę cię.

W tej chwili karetka się zatrzymała, pan S. wysiadł, aby podać rękę żonie—pani Paulina zmierzyła mnie surowo wzrokiem, chciała nawet coś mówić, wyraz jednak pozostał na ustach—wargi tylko poruszały się. Ja z mojej strony odpowiedziałem na to spojrzenie wzrokiem surowym i zupełnie obojętnym wyrazem twarzy.

Na stacyi czekał już na mnie brat chorego, do którego byłem wezwany i serdecznie mnie przywitał.

— Bóg pana sprowadza - rzekł.

— Czy tak jest źle?

— Było źle — wyglądaliśmy jak zbawienia pańskiego przybycia; lecz dzięki Bogu cokolwiek jest spokojniejszym—zasnął nawet gdym odjeżdżał. Podczas tego słyszałem za sobą rozmowę państwa Słuszkowskich.

— Bądź łaskaw zamówić konie.

— Ależ poco?

— Czy chcesz abym to sama uczyniła.

Pan S. przeszedł do ekspedycyi.

Wsiadłem na bryczkę i w dwie godzin niespełna znajdowałem się już przy łóżku chorego. Pierwsze niebezpieczeństwo minęło, stan obecny jednak wymaga ciągłego dozoru i starannej opieki.

Od kilku godzin czuwam przy nim, przez otwarte drzwi słyszę jego gorączkowy oddech. Zostawiony sam z memi myślami, wziąłem papier, jaki znalazłem na stoliku, aby dorzucić kilka kartek do mego dziennika opisaniem zdarzenia, którego byłem świadkiem przed kilku godzinami, a gdzie sam też niespodziewanie, tak ważną odegrałem rolę. Serdecznie żałuję, że nie mogę być obecnym przy połączeniu tej pięknej pary, która tak długo trwała we wzajemnych uczuciach wobec najsilniejszych pszeszkód i tak cierpliwie lepszego oczekiwała losu. Jutro zapewne wieczorem staną w Częstochowie — pojutrze zaś rano, jak to Władysław ojcu powiedział odbędzie się ślub. Musiałbym więc jutro zrana wyjechać, aby w środę przybyć do Częstochowy. Niepodobna mi jednak odstąpić chorego i zawieść zaufania rodziny, która pomimo całej niespokojności i trwogi o jego zdrowie, napisawszy do mnie do Warszawy, wstrzymywała się z wezwaniem pomocy lekarskiej, oczekując na moje przybycie.

* *

*14 Stycznia 18** roku.*

Godzina 10 zrana.

Chory przy którem czuwałem ma się znacznie lepiej. Sama młodość walczy przeciw słabości i pokonywa ją. Mógłbym teraz bez niebezpieczeństwa dla pacyenta oddalić się na 48 godzin, zaleciwszy tylko otaczającym regularne

podawanie lekarstwa i jak największą spokojność. Szczególniejszą czuję ochotę być obecnym przy ślubie Władysława, choćby tylko dlatego, aby uczynić zadość jego tak serdecznej prośbie. Jeżeli do godziny 4-ej choroba w tym stosunku jak dotąd zmniejszać się będzie, z zupełną spokojnością opuszczę chorego na 24 godzin, dojadę do Piotrkowa, gdzie stanąwszy dziś w nocy—nazajutrz rano będę się znajdował w Częstochowie.

Godzina 2-ga po południu.

Homo proponit, Deus disponit; przed godziną odebrałem od żony list z zagranicy — dobrze zrobiono przysławszy mi go tu z Warszawy. Biedna moja żona donosi mi, że stan jej zdrowia znacznie się pogorszył: że ani powietrze południowych krajów, ani lekarze, pod opieką których zostawiłem ją w Meran bynajmniej jej niepomagają: pragnie tedy jak najprędzej mnie zobaczyć i moim powierzyć się staraniom. Jak tylko więc uważać będę, że chory o tyle ma się lepiej, iż już bez pomocy mojej przyjdzie do zdrowia, pospieszę do Warszawy a stamtąd jak najprędzej do mojej biednej Ludwiki.

* * *

*8 Lutego 18** roku.*

Pierwszy raz po moim do Warszawy powrocie otwieram te kartki, aby w nie wpisać kilka nowych wrażeń, jakie mnie na samym wstępie spotkały.

Znużony całodzienną pracą i wizytami oddawanemi, już to moim dawnym pacyentom, już innym, którzy dowiedziawszy się o moim powrocie, natychmiast mnie do siebie powołali—wstąpiłem do restauracyi, aby się rozgrzać filiżanką bulionu i przeczytać dzisiejsze gazety.

We drzwiach wchodowych spotkałem mężczyznę, którego rysy dobrze mi były znajome.

— Leon—zawołał młody człowiek chwytając mnie za rękę.

— Władysław — i drugi raz widząc się w życiu serdecznieśmy się uściskali.

— Na miłość boską rzekł do mnie, gdzieżeś się tak długo podziewał.

— Byłem zagranicą.

— I na ślub nieprzyjechałeś.

— Nie mogłem.

— Doprawdy—jakto?

— Jechałem do chorego, do którego byłem spiesznie wezwany — z serca zrobiłem ofiarę dla obowiązku.

— Aha!—więc jesteś doktorem — zawołał śmiejąc się Władysław—to dobrze! Od dwóch lat przeszło będąc przyjaciołmi nie wiemy nic o towarzyskich pozycyach, jakie zajmujemy. Więc ty jesteś doktorem — a ja hreczkosiej z Opoczyńskiego.

— Tyle wiem.

— Skąd?

— Czy o nic mnie więcej nie pytasz?

— Ależ bo nie wiem o co cię pierwej mam pytać.

— Zaspokoję natychmiast twoję ciekawość, powiedz mi tylko jedno — ślub odbył się we czwartek o 10 zrana...

— Ależ mam już syna, ślicznego chłopca, jak dwie krople wody podobnego do mojej Heleny.

— To źle.

— Dlaczego?

— Lepiej, żeby był do ojca podobnym.

— Ba! — żona powiada, że to mój portret. Roześmiałem się serdecznie z obojga.

— A matka?

— Przebaczyła, pobłogosławiła, i sama chciała, aby synowi dać imie Ryszarda—ale ja ci mówię—a ty nic nie wiesz.

— Ależ wiem wszystko.

— Sfinksie, Leonie! — przestań że być dla mnie zagadką.

Usiedliśmy, opowiedziałem słuchającemu mię ze zdumieniem Władysławowi, jak niechcący podsłuchałem rozmowę państwa Słuszkowskich, jak później z ust pana Okszy dowiedziałem się o zajściu jakie miał ś. p. ojciec Władysława z panem Arturem Ryńskim pierwszym mężem pani Pauliny i o ich miłości z Heleną.

— Powiedz mi jednak — rzekł Władysław, jakim sposobem mogłeś nas poznać?

— I ja się siebie oto pytałem, zdaje mi się, iż to zawdzięczasz dokładności opisów pana Okszy, który będąc literatem, posiada w wyższym stopniu talent naracyjny.

— Zapewne — rzekł Władysław zastanawiając się i szukając w pamięci szczegółów owego zdarzenia—wspomniał ci też zapewne o Macieju...

— Naturalnie—jako też i o tem—że służył u hrabiny Tarłowej, której cyfrę poznałem na jego guzikach.

— A! Muszę ci oddać sprawiedliwość, że jesteś bardzo przytomny, byłoby jednak stosowniej zapytać mnie odrazu czy nie jestem Władysławem Porajem—byłbyś tym sposobem uniknął grubijaństwa starego Macieja, za które cię teraz najserdeczniej przepraszam.

— Otóż to największy błąd mojego znalezienia się—chciej że mi opowiedzieć wasze spotkanie z matką.

— Wiesz co rzekł Władysław — wstając z krzesła—zamiast tu siedzieć pójdźmy lepiej do mnie, mieszkam stąd niedaleko.

— A i owszem, powiedz że mi jak dawno jesteś w Warszawie?

— Mieszkam od Nowego Roku, cały karnawał tu przepędziłem, bo jakkolwiek dla mnie najzupełniej do szczęścia wystarcza Helena, Ryszardek, moja droga matka, sąsiedztwo rodziców i moje gospodarstwo, na usilne jednak prośby hrabiny T. którą znasz ze słyszenia, a która Helenę tak jak własną córkę kocha, cały karnawał przepędziliśmy w Warszawie i dotąd jeszcze pani T. nie chce nas puścić.

— A—rzekłem—w takim razie wybaczysz, nie mogę pójść z tobą.

— A to dlaczego?

— Jestem nieubrany.

— Dajże temu pokój.

— Przepraszam cię, będzie to moja pierwsza wizyta, przy której nawet co do sukni przyzwoitość towarzyska wymagania pewne stawia.

— Warszawiak przez ciebie mówi, my wieśniacy zupełnie się na tem nie znamy.

Nie mogąc się oprzeć naleganiom, wsiadłem z nim w dorożkę i po upływie kwadransa znajdowaliśmy się przed drzwiami jego mieszkania.

Przez drogę rozmawialiśmy z Władysławem o przedmiotach o których wątpię czy kiedy wątku do rozmowy nam zbraknie.

— Powiedz że mi—rzekł, śmiejąc się Władysław — czyś ty żonaty, bo i o to muszę się zapytać.

— Od czterech lat.

— Jesteś szczęśliwym?

— Byłbym nim najzupełniej gdyby nie słabość żony.

— Jest więc słabą?

— Teraz przychodzi do zdrowia, mam nadzieję, że za parę miesięcy powróci nam szczęście.

— Masz dzieci?

— Dwóch synów.

— Szkoda że nie masz córki.

— Dlaczego?

— Byłaby to żona dla mojego Ryszarda.

Stary Maciej otworzył nam drzwi.

— Cóż Macieju—rzekł Władysław gdyśmy się znaleźli w przedpokoju — poznajesz tego pana?

— A bo nie, a toć poznaję.

Weszliśmy do salonu.

Wgłębi na kanapie siedziały dwie jakieś podeszłego wieku osoby, obok na fotelu Helena, trzymając na ręku małego synka. Przyznam się, iż tak nagłe znalezienie się w tem towarzystwie mocno mnie zmieszało. Rzuciwszy jednak okiem i nie ujrzawszy nigdzie pani Pauliny, uspokoiłem się cokolwiek. Osoby siedzące przy stole spojrzały ku drzwiom przedpokoju, w którym szłyszały zapewne przed chwilą głos Władysława, niespodziewając się ujrzeć nikogo więcej prócz niego.

(*d. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Hrabia L. **Tołstoj**, za nowy swój romans, mający być drukowanym w „Gońcu Rosyjskim“ otrzymał od redaktora pomienionego pisma, pana Katkowa honoraryum w ilości 10,000 rs. W Rosyi dobrze płacą autorom i literatom; podług „Petersburskich wiadomości“ autor powieści „Wojna i pokój,“ za romans mający czterdzieści arkuszy druku otrzymał jako honoraryum 20,000 rs.

— W Angli umarł niedawno niejaki **Attwood 80-cieletni kawaler**, który dorobił się znacznego majątku handlując szkłem. Przez całe życie na dobroczynne cele wydał 45,000 funtów szterlingów, wszystkie ofiary składał bezimiennie, dopiero książki które prowadził bardzo starannie, wykazały światu jego dobroczynność. Umarł zostawiając 10 milionów funtów majątku, nie zrobiwszy tastamentu.

— Na wyspie Sandwich, nad zatoką Keoloke-Kua, wzniesiono kosztem składek publicznych pomnik dla sławnego żeglarza **Jakób Cooka**, w miejscu, w którem ten został zabity. Pomnik ma kształt obelisku umieszczonego na kwadratowej podstawie, z którą dosięga wysokości 27 stóp angielskich. Na ścianie podstawy od strony morza, widnieje następujący napis: „Pamięci kapitana Jakóba Cook, R. N. znakomitego żeglarza na około świata—odkrywcy tych wysp, zabitego blisko tego miejsca w dniu 15 lutego 1779 r. Pomnik ten został wzniesiony w listopadzie r. 1874, przez kilku ziomków“.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorowi wiersza: Czyż ja poeta? Na pytanie Pańskie, gotowiśmy dać odpowiedź przeczącą. W porównaniu z dawniejszemi utworami postęp widoczny, ale forma mocno zaniedbana. Gdybyś Pan był poetą nie rymowałbyć np. *takim* i *śpiewakiem*.

Panu Aurelemu Sto.... w Równem. — Na rachunek b. wydawcy będzie Panu wysyłane *Ognisko* do d. 1 kwietnia r. b. — do końca roku należeć się będzie rs. 4 kop. 50.

Panu Berliń.... w Tulczynie. — Nr 13 był wysłany—wysłaliśmy go powtórnie na pańskie żądanie.

Panu Cypryanowi Siekl.... w Woronežu.—Komplet od Nowego Roku wysłany, powinien już był dojść rąk Pańskich. W razie przeciwnym prosimy o wiadomość a natychmiast wyślemy powtórnie.

Puan Bolesławowi Rości.... w Widawie.—Według teraźniejszych przepisów pocztowych w kopertach wysyłać nie możemy—rubel zatem jeden pozostaje u nas do Pańskiej dyspozycyi.

Panu Tomaszowi Krzy.... w Nowoaleksandrowsku.—Adres sprostowany. Żądane numery wysłane powtóruie.

Pani Julii Karysz..... w Lisowiczach. — List wraz z pieniędzmi oddaliśmy p. Korpaczewskiemu.

TREŚĆ NUMERU: Z teki Jana Chęcińskiego, III. **Moja matka** (wiesz). — **Poza biurem.** — **Haliczanin-Ziewonia** przez K. Wł. Wójcickiego (ciąg dals.) — **Znakomici mężowie i kobiety w Polsce**, od X do XII wieku szkicował Ernest Swieżawski (c. d.) — **Od kolebki do szkoły**, przez Bertę Meyer. (c. d.) — **Z dziennika lekarza.** (ciąg dalszy). — **Rozmaitości.** — W odcinku: **U Ogniska.**

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**